



Kryminał z myszką

20

KAPITAN STEFAN BULA NA TROPIE

NOC ROBIN HOODA

Jan Bernard

Jan Bernard

NOC ROBIN HOODA

Kryminał z myszką – Tom 20

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-71-7

Copyright © Katarzyna Petecka-Jurek

Tekst: Czytelnik, Warszawa 1970 (Jamnik)

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

Jan Bernard to pseudonim literacki Bohdana Peteckiego

Szklana ściana mieniła się błękitnymi ognikami słonecznych „zajaczków”. Na zewnątrz świat był pełen pogody i wiatru, połyskującego brzuszka topolowych liści.

Wolski obrzucił niechętnym spojrzeniem przezroczyste przegrody swojego boksu. Wstał, wyprostował się i rozejrzał po sali. Wnętrze obszernego szklanego kręgu było już puste. Pośrodku, na okrągłej, obitej skórą kanapie czekało dwóch ostatnich interesantów.

Wolski spojrzał na zegarek, usiadł i jednym płynnym ruchem zagarnął leżące na biurku papiery. Stuk stempli, przybitych pod ostatnimi zapisanymi rubrykami, zabrzmiał jak salwa honorowa, obwieszczająca początek defilady.

W tym momencie od wejścia dobiegł głośny trzask. Wahadłowe drzwi zadygotały, pchnięte gwałtownie przez tęgiego mężczyznę w białej koszulce polo i rdzawych, drelichowych spodniach. Przybysz zatrzymał się pośrodku sali, przebiegł niespokojnym wzrokiem szklane okienka, wreszcie, spostrzegłszy Wolskiego, ruszył zdecydowanym krokiem w jego stronę. Kiedy kasjer podniósł głowę, zobaczył tuż przed sobą pełną, opaloną twarz, po której ściekały krople potu.

– Bałem się, że nie zdążę... – przemówiła twarz.

Wolski zjeżył się wewnątrz, rozciągając równocześnie policzki w profesjonalnym uśmiechu. Ponownie zerknął ukradkiem na zegarek i serce zalała mu fala kojącego ciepła. Było półtorej minuty po dwunastej. Każde dziecko wie, że dobrze naoliwiona machina operacyjna dużego banku zamiera w soboty punkt dwunasta.

– Obawiam się – rozłożył ręce; w jego głosie brzmiała żalność, w której tylko niezmiernie czułe ucho mogłoby pochwycić nutkę pewności siebie. – Obawiam się – powtórzył – że jednak pan nie zdążył, panie inżynierze... proszę spojrzeć – wskazał okrągły, ścienny zegar z cyframi w kształcie złotych płomyczków.

– Jak to...? – mężczyzna nie wiedział, czy ma się obruszyć, czy spróbować obrócić to, co usłyszał, w żart. Na wszelki wypadek powiedział pojednawczym tonem:

– Panie Wolski, ja wiem, że pan nie odmówi staremu klientowi... Chodzi o małą wypłatę. Wyjeżdżam dzisiaj do Zakopanego... – Mężczyzna nazwany przez Wolskiego inżynierem położył na kontuarze książeczkę czekową i wyjął pióro.

Uśmiech zniknął z twarzy kasjera. – Niestety – powiedział tonem, nie pozwalającym żywić złudzeń co do dalszych losów sprawy – proszę mi wierzyć, że chętnie poszedłbym panu na rękę, ale zamknęliśmy już bilans dzienny. Nawet gdybym przyjął ten czek, dzisiaj nie da się go już zrealizować.

Za szybą pojawiła się chusteczka. Mężczyzna desperackim gestem otarł twarz z potu.

– Na miłość boską, panie Wolski – tym razem była to już rozpaczliwa prośba – dzisiaj wyjeżdżam. Tam, w Zakopanem, trafia mi się bajeczna okazja. Jeżeli nie dacie mi pieniędzy, to klops. Ostatecznie, to przecież moje własne pieniądze. Znamy się tyle lat, panie Wolski... – inżynier rozejrzał się nerwowo i ściszył głos – ja się panu zrewanżuję... na pewno da się to jakoś zrobić...

Wolski wzniosł ręce, jakby odpychając wizję Ewy, potrząsającej jabłkiem.

– Zapewniam pana – rzekł miękko – że nawet dyrektor banku nie mógłby panu tego teraz załatwić. Dzień jest zamknięty. Sobota...

– No, to leżę... – z twarzy inżyniera wyzierała tak szczera boleść, że Wolski mimo woli spojrzał na niego ze współczuciem.

– Chyba, że... – zaczął niepewnie. Oczy za szybą rozbłysły.

– Musi pan jechać dzisiaj? – wycofywał się kasjer. – W poniedziałek załatwię to panu w ciągu pięciu minut...

Mężczyzna przełknął ślinę. W jego głosie zabrzmiało gorzkie rozczarowanie.

– Skąd, panie... – powiedział niechętnie. – Facet jest z Zachodu. Będzie w Zakopanem wszystkiego dwa dni – machnął ręką – co tam dwa dni! Wystarczy godzina i ktoś mi go zdmuchnie. Taka gratka!

– O jaką sumę chodzi?
 – Powiedzmy, dwieście tysięcy...
 – Przecież pan wie, że takie wypłaty trzeba awizować.
 – Myślałem, że zechce pan to dla mnie zrobić... jeśli chodzi o moje konto... nigdy nie mieliście ze mną kłopotów.
 – Powiedzmy, że to mógłbym jakoś załatwić. Chociaż... – zawiesił głos. – Ale dopiero w poniedziałek rano.
 – To na nic. W poniedziałek nie będzie już po co jechać...
 Kasjer zamyślił się. Po chwili spytał:
 – Nie ma pan pełnomocnika?
 – Nie – inżynier ożywił się nagle – a gdybym teraz załatwił upoważnienie? W poniedziałek pan wypłaciłby pieniądze, a ten ktoś przesłałby mi je pocztą, telegraficznie? Do poniedziałku jakoś przetrzymam tego faceta, jeżeli będę na miejscu...
 Wolski pokręcił przecząco głową.
 – Pełnomocnictwo musi przejść przez biuro naszego radcy prawnego... dzisiaj już nie urzędują...
 – Panie Wolski – mężczyzna rozpląszczył się na kontuarze, wciskając twarz w okienko.
 – Niech mi pan nie odmawia. Ja panu wystawię pełnomocnictwo. W poniedziałek potwierdzi je pan po znajomości u waszego prawnika i podejmie pieniądze. Musi pan to dla mnie zrobić. Poczta jest na sąsiednim rogu. Uratuje mnie pan. Ja naprawdę umiem się rewanżować...

1

– Leje bez przerwy – mruknął Bula. – Masz zapalniczki? – oderwał się wreszcie od okna i podszedł do biurka. Młody brunet w mundurze sierżanta milicji sprawiał wrażenie pochłoniętego bez reszty treścią leżącą przed nim kartki papieru. – Zapalniczki... – powtórzył nieprzytomnie – Tak jest – zreflektował się szybko, uderzając rękami po kieszeniach. – Niestety...

Bula pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć: tak, to jest właśnie to, czego się spodziewałem, przeszedł za biurko, odsunął Czernika i wyjął z szuflady pudełko zapalek. Wskazując leżącą na biurku kartkę rzucił obojętnie:

– Uczysz się tego na pamięć?

Nie wróżyło to nic dobrego. Sierżant wyprostował się szybko i spojrzał na przełożonego. Bula zapalił spokojnie giewonta, zaciągnął się głęboko i wrócił pod okno.

Ulica, trawnik przed gmachem komendy, smukła, częściowo już ogołocona z liści topola – wszystko to było czarne, przesycone wilgocią. Wiatr rozpryskiwał na szybach drobne, gęste krople.

– No? – odezwał się nagle Bula, pozornie pochłonięty całkowicie listopadowym krajobrazem miasta.

– To wygląda na kobietę... – powiedział niepewnie Czernik.

– Uhm...

– Któryś z nich naraził się jakiejś babce. Może własnej żonie... W takich środowiskach – podkreślił odpowiednim gestem swój stosunek do „takich środowisk”. Kapitan Bula odwrócił się i spojrzał na niego z życzliwym zainteresowaniem.

– No? Śmiało, synu...

– To mogła także napisać jakaś wspólniczka. Przypuśćmy, że nabrała jednego z tych gości. Albo nawet wszystkich. Mogła na przykład przeprowadzić jakąś transakcję za ich plecami, angażując wspólne kapitały. Faceci przyłapali ją na tym i przyparli do muru. No,

więc postanowiła sprowadzić im na kark milicję. Pomyślała, że kiedy się nimi zajmiemy, dadzą jej spokój. Przynajmniej na jakiś czas...

– To wszystko? – w głosie Buli zabrzmiała jakaś dźwięczna nuta, która bardzo nie spodobała się sierżantowi.

– Może jeszcze... – zaczął z wahaniem i urwał.

Kapitan podszedł do biurka i ponownie przebiegł wzrokiem anonim. List był pisany na maszynie, z dużymi odstępami i licznymi poprawkami w tekście.

W pensjonacie „Janina” w Śląskiej Osadzie – pisał autor donosu – spotka się wieczorem jedenastego listopada trzech mężczyzn. Będą to: a) Adam Kmita, producent kosmetyków, właściciel firmy „Laura”, od szeregu lat oszukujący wydziały finansowe, ponadto spekulujący uzyskiwanymi z przydziału surowcami, używanymi rzekomo do wyrobu specyfików, b) Zdzisław Żuławski, podający się za inżyniera mechanika, pośrednik, zajmujący się okradaniem obcokrajowców, nadto handlujący dewizami i towarami z przemytu, c) Paweł Drożny, posiadający w Katowicach warsztat naprawy wiecznych piór, od siedmiu lat sprzedający sporządzane przez siebie wkłady do długopisów, napelnione bezwartościową substancją, jako zagraniczne.

Piszę to w przekonaniu, że na miejscu spotkania powinien się zjawić jeszcze ktoś czwarty – ktoś z Was. Ten doborowy garnitur przygotowuje bowiem wspólnie nowy skok – znacznie poważniejszy od wszystkich dotychczasowych. Posłuchajcie mojej rady, ci ludzie nie zasługują na żadne względy.

Robin Hood

– Tak... – Bula wyprostował się i spojrzał na Czernika, nie kryjąc już niezrozumiałego – tak przynajmniej orzekł w duchu jego podwładny – rozbawienia.

– Mówisz, synu – zaczął powoli – że postanowiła sprowadzić im na kark milicję... no, no... – zdusił starannie papierosa i zaczął chodzić po pokoju. W pewnym momencie zatrzymał się obok biurka i uderzył wierzchem dłoni w rozpostartą kartkę papieru listowego.

– Robin Hood radził sobie zupełnie inaczej – mruknął. – Obawiam się... – nie skończył. Pomedytowawszy chwilę, podjął przerwana wędrówkę po pokoju. Za każdym razem, kiedy przechodził obok sierżanta, ten prostował się odruchowo. Nie darmo kapitan Bula cieszył się w komendzie opinią „cholery piły”. Przyjaciele nazywali go po prostu „piłą”. Gdyby ktoś powiedział Czernikowi, że jego szef rozmyśla teraz o historii Anglii, o swoim dziewięcioletnim synu oraz o wielu ciekawych rzeczach, które można by chłopcu opowiedzieć, gdyby nie ten przeklęty brak czasu – sierżant odpowiedziałby niechybnie zakreśleniem na czole wyzywającego kółeczka. Pracował z Bulą dopiero od czterech miesięcy i był od niego młodszy o trzynaście lat. Inna rzecz, że dla ogromnej większości starszych kolegów z Wydziału Dochodzeniowego kapitan pozostawał również postacią nieco mglistą, uważano go za coś pośredniego między Asmodeuszem, zaglądającym pod dachy domów, a szarlatanem. Oczywiście, jeżeli szarlatanerią dało się nazwać metody śledcze polegające pozornie głównie na intuicji i używaniu jak najmniejszej ilości słów. Najwyżej dwie, może trzy osoby z grona najbliższych współpracowników Buli przyjęłyby jako rzecz naturalną, że ordynarny donos skierował jego myśli ku staroangielskim balladom i bandzie dzielnych zabijaków, gromiących na rzecz biedoty zamki i klasztory w hrabstwach York i Nottingham.

– Robin Hood – odezwał się nagle z przekąsem, przystając przed Czernikiem. – O ile wiem, synu – mówił, patrząc obojętnie przed siebie – Robin Hood nie był kobietą...

– Przecież podpisał... – sierżant spojrzał na niego ze zdziwieniem.

Bula skrzywił się niemiłosiernie. – Będziemy tam, sierżancie – rzucił sucho.

– Tak jest!

- Idź teraz do kartoteki i zobacz, co o nich wiemy...
- Tak jest – powtórzył Czernik. Wziął anonim, złożył go starannie i schował do kieszeni. Już przy drzwiach zatrzymał go głos kapitana:
- Jutro posiedzisz w komendzie. Ja sam tam pojedę...

Sierżant usiadł przy biurku, zaświecił lampkę i przesunął abażur, chroniąc twarz w cieniu. Pośrodku jasnej plamy leżał zielony notes. Po raz któryś z rzędu przerzucił zapisane drobnym pismem kartki. – Rzeczywiście, niewiele tego – mruknął. Po tym, co usłyszał od Buli, był właściwie zadowolony, że kapitan zdecydował się sam skorzystać z anonimowego „zaproszenia” do Osady. Gdzieś na dnie serca brzęczała jednak nutka żalu do przełożonego. Ostatecznie, sprawa była niezwykła. Jeżeli autorowi listu naprawdę chodziło o coś więcej niż zwykły donos czy po prostu kawał...

Wyjął z szuflady czystą kartkę papieru i napisał na niej trzy nazwiska, jedno pod drugim. Koło Kmity skreślił: notowany. Wczoraj odszukał w kartotece notatkę o ukaraniu kierowcy pewnego przedsiębiorstwa, który państwowym wozem woził „fuchę” na zlecenie Kmity. Obok nazwiska Żuławski zrobił kółeczko. Ten z kolei – jak poinformował dzielnicowy – był widywany w towarzystwie „Baronowej”, czyli Marty Z., osoby dobrze znanej milicji, trudniącej się głównie handlem dewizami. I to byłoby wszystko. Oczywiście, jeśli zajdzie potrzeba, zbierze się dokładniejsze informacje. Na razie nic nie uzasadniało przypuszczenia, że za tym anonimem kryje się coś więcej niż zwykła zawiść czy złośliwość.

Po chwili namysłu podkreślił nazwiska mężczyzn wymienionych przez autora listu i dopisał pod spodem: Stefan Bula. Skąd to natrętne uczucie, obwieszczające obecność ważnego śladu? Stefan Bula... Czernik umiał docenić znaczenie faktu, że kapitan potraktował poważnie anonimowe wezwanie. Dlatego właśnie ulga, z jaką przyjął decyzję przełożonego, nie była pozbawiona uczucia żalu. Jeżeli sprawa okaże się naprawdę interesującą, wtedy on, Czernik... Tak, ale gdyby Bula jemu zlecił ten wyjazd, można by mieć pewność, że chodzi o tuzinkową intrygę, jedną z tych, jakie codziennie rozgrywały się w światku, do którego należała opisana przez „Robin Hooda” trójka.

Czernik westchnął, wyprostował plecy i zniecierpliwionym gestem odsunął od siebie notes. Trudno będzie zarobić na awans u boku tego Buli. Chociaż...

Zadzwonił telefon. Dyżurny pytał, kogo posłać na Wiśniową. Zameldowano o włamaniu do mieszkania... Czernik machinalnie notował adres, nazwisko... Nagle drgnął.

– Żuławska?

Głos w telefonie powtórzył nazwisko, pytając, o co chodzi.

– Chwileczkę – rzucił sierżant. Szybko wertował kartki w notesie. Zgadza się. Zdzisław Żuławski, Wiśniowa 81. Zbieg okoliczności? Rzucił okiem na zegarek. Dochodziła dwunasta. Jeżeli Żuławski rzeczywiście ma się z kimś spotkać wieczorem w Osadzie, to musi już być w drodze. Po plecach Czernika przebiegł orzeźwiający dreszczyk emocji.

– Powiedźcie Jodłowskiemu, żeby przejął dyżur – powiedział oficjalnym tonem. – Jadę na Wiśniową.

2

- Do diabła – mruknął.
- Proszę?
- Jestem z milicji. Pani nas wzywała? – powiedział niezwykle szybko, wymyślając sobie w duchu od smarkaczy.

– Niech pan wejdzie – przepuściła Czernika i zamknęła drzwi. Stawiając stopę na grubym, mięsistym chodniku, z trudem opanował paniczną chęć przytrzymania się ręką ściany.

– Byłam bardzo zdenerwowana, w pierwszej chwili wydawało mi się, że całe mieszkanie zostało doszczętnie ograbione... – w głosie gospodyni pobrzękiwały niskie nutki, półdźwięczne, półmrukliwe.

Sierżant zatrzymał się w przedpokoju i wodził spłoszonym wzrokiem po ścianach, ozdobionych cepeliowskimi wycinankami, oprawionymi w surowe, jasne drewno.

– Proszę – Żuławska otworzyła drzwi obszernego pokoju, zakończonego półokrągłą, oszkloną werandą. – To jest gabinet mojego męża. To było tutaj...

– Tylko tutaj? To znaczy – zreflektował się – splądrowali wyłącznie pokój męża?

– Tak. Poza gabinetem mieszkanie jest w idealnym porządku.

– Co zginęło? – spytał odrobinę przytomniejszym głosem.

– Jeszcze nie wiem – Żuławska wzruszyła ramionami. – Mąż wyjechał służbowo... to znaczy w interesach – a ja nie jestem zorientowana, czy miał tutaj pieniądze względnie jakieś wartościowe rzeczy...

Dokoła okrągłego stołu, pośrodku pokoju, widniały szerokie, obite skórą fotele. Naprzeciw biurka, wciśniętego skosem w półkole „zimowego ogrodu”, stała również klubowa kanapa. Uwagę Czernika przykuła płaska kasa pancerna koło biurka. Była otwarta. Na podłodze bielila się porzucona w nieładzie sterta papierów. Szuflady biurka były wysunięte, jedna z nich, przewrócona do góry dnem, leżała obok sejfu. Jej wytrząśniętą w pośpiechu zawartość stanowiły przeróżne notatki, formularze, spięte pliczki kwitów i rachunków. Część papierów zsunęła się na puszysty, kolorowy dywan.

– Czy pani dotykała tutaj czegoś po przyjeździe do domu?

– Widziałam kiedyś w kasie zwitek dolarów. Chciałam sprawdzić, czy są tam jeszcze... wie pan, w pierwszym odruchu...

Sierżant skinął głową. – No i co?

—Nie ma. Ale równie dobrze mógł je zabrać mój mąż...

– Można? – Czernik wskazał stojący na biurku telefon i nie czekając na odpowiedź podniósł słuchawkę. Upewniwszy się, że ekipa techniczna przyjedzie za kilka minut, zdjął czapkę, wyjął notes i usiadł w fotelu.

– Kiedy pani wyszła dzisiaj z domu? – uniósł wreszcie głowę, starając się przystroić twarz w wyraz służbowej ascezy, spotykany na niektórych rzymskich posągach.

Trzeba obiektywnie przyznać, że nawet kapitan Bula, gdyby jakimś cudem dowiedział się o nieregularnych unikach Czernika, byłby w stanie, przynajmniej w duchu, rozgrzeszyć swojego młodszego asystenta. Żuławska była kobietą... krótko mówiąc, piękną. Miała długie, połyskujące miodowo włosy, ułożone „na pazia”, duże, czarne oczy, których skośne kąci strzelały ku górze, śniadą cerę i pełne, nie tknięte szminką usta. Prosta, granatowa sukienka podkreślała doskonale linie piersi i bioder. Z całej kobiecej sylwetki emanowała sprężysta miękkość, sprowadzająca natrętne wizje...

Czernik, który nastawił się na spotkanie z grubą, upierścienioną i woniejącą perfumami babą – tak jego zdaniem powinna wyglądać żona takiego Żuławskiego – przeżył w pierwszym momencie prawdziwe trzęsienie ziemi.

– Około dziesiątej – odpowiedziała, lokując się w fotelu naprzeciwko.

– A mąż? – przemknął spojrzeniem po parze smukłych nóg, od modnych, błyszczących pantofli, do krótkiej sukienki, i skwapliwie zajął się swoim notesem.

– Wyszedł przed ósmą. Wróci późnym wieczorem... albo jutro.

– Dokąd pojechał?

– Nie wiem.

Czernik przyjął tę bądź co bądź lakoniczną odpowiedź z pozorną obojętnością.

- Państwo mieszkacie sami? – spytał po chwili.
- Tak.
- A więc od dziesiątej rano dom był pusty – skonstatował. – O której pani wróciła?
- Mniej więcej – zerknęła na zegarek – czterdzieści minut temu.

Czernik wyprostował się powoli. Włamywacz miał przeszło osiem godzin czasu... Trzeba będzie, oczywiście, wypytać sąsiadów, dozorcę... Spojrzał odruchowo w okno i zasępił się. Poprzez odbłask matowych żarówek, oświetlających pokój, dostrzegł spływające po szybach krople deszczu. Przy takiej pogodzie można z pustej willi wywieźć wszystkie meble, nie zwracając niczyjej uwagi. Rozpiął płaszcz i poprawił się w fotelu.

Ekipa techniczna kończyła swoje stereotypowe misteria. Jak było do przewidzenia, złodziej czy też złodzieje nie zostawili żadnych śladów ani odcisków. Jediną rzeczą, która ewentualnie mogłaby mieć jakieś znaczenie, był skrawek grubego, kopiowego papieru, z drukowanymi literami „wyc...”, stanowiącymi najwyraźniej początek tekstu. Papier sprawiał wrażenie rozdartego w pośpiechu i mimo drobiazgowych poszukiwań nie udało się znaleźć innych strzępów tej kartki. Młody technik, opuszczając mieszkanie, mrugnął porozumiewawczo do Czernika, wskazując Żuławską. Jego pięść wzniosła się w geście cesarów, demonstrując odgięty w górę kciuk.

– Muszę pani zadać jeszcze kilka pytań – powiedział sierżant, zostawszy sam na sam z piękną gospodynią.

– Proszę... – uśmiechnęła się, wracając na swoje miejsce w fotelu.

– Jak spędziła pani dzisiejszy dzień?

– Rano poszłam do kosmetyczki... potem byłam na obiedzie u siostry, a po południu w kawiarni...

– Sama czy w towarzystwie?

– U kosmetyczki? Te rzeczy kobiety załatwiają samotnie. Obiad jadłam z siostrą i jej mężem... nazywają się Nowakowie, mieszkają na Francuskiej. Potem zadzwonili znajomi i umówiliśmy się z nimi w Café Sport. Ostatni stolik po lewej stronie, na tarasie... – uśmiechnęła się znowu. – Podejrzewa pan, że to ja włamałam się do biurka mojego męża...?

– W takich okolicznościach funkcjonariusze milicji mówią zwykle: „przepraszam, ale teraz ja zadaję pytania”... – Tylko czułe ucho kapitana Buli mogłoby pochwycić w głosie Czernika nutkę nieco zbyt ostentacyjnej pewności siebie...

– Prosto z kawiarni wróciła pani do domu? – spytał po chwili.

Przytaknęła ruchem głowy.

– Czy ktoś panią odprowadzał?

– Zwykle mnie ktoś odprowadza. Nie uważa pan, że to naturalne?

Czernik poczuł, że się rumieni. Przełknął ślinę i powiedział poważnie: – Owszem.

Żuławska wybuchnęła śmiechem. Śmiała się głośno, swobodnie, bez cienia ironii. – Przepraszam pana – wykrztusiła. – Zachowuję się okropnie. Ale pan to tak śmiesznie powiedział...

– Nie szkodzi – burknął. Zrobiło mu się przykro. Babka żyje w innym świecie. Zimą Zakopane, latem wycieczki „Orbisu”, bridże, dansingi, drogie samochody... „Dolce vita” – pomyślał ze złością. Za pieniądze takiego Żuławskiego. Musi wiedzieć, jak on je robi...

– Czy ten ktoś, kto panią odprowadzał, wszedł także do domu?

– Pożegnaliśmy się na dole. Lało jak z cebra, nie wysiadali w ogóle z samochodu.

– Drzwi wejściowe były zamknięte?

– Otwarte. Dlatego od razu zrozumiałam, co się stało.

– Co pani zrobiła po wejściu do domu?

– Przede wszystkim zamknęłam za sobą drzwi...

Spojrzał na nią uważniej. Teraz, kiedy ochłonął, zaczynał dostrzegać inne cechy gospodyni, nie mniej interesujące niż jej niezwykła uroda. Opanowanie. Jak na kobietę, którą tylko co ograbiono bądź usiłowano ograżyć, jej dobry humor był odrobinę za dobry. Poza tym chłodna, chciałoby się powiedzieć: przemyślana rzeczowość, z jaką odpowiadała na jego pytania. Chociażby taki drobiazg – zamknięcie drzwi. Któż z kobiet, relacjonując swoje czynności po przyjeździe do okradzionego mieszkania, zaczęłaby od tego odruchowego gestu.

– Potem – ciągnęła Żuławska – weszłam do gabinetu męża. Sprawdziłam, czy kogoś nie ma, zajrzałam do innych pokoi, do kuchni, łazienki, wróciłam tutaj i zadzwoniłam na milicję.

– Czy ktoś mógł w tym czasie wyjść z mieszkania tak, żeby pani tego nie zauważyła?

– Nie. Drzwi do przedpokoju zostawiłam otwarte. Wykluczone.

Czernik podumał chwilę, następnie zamknął notes i wstał.

– No cóż – powiedział, zapinając płaszcz. – Skoro nie zna pani adresu męża, to dzisiaj już nic nie zrobimy. Przyjdę jutro rano. Proszę mu powiedzieć, żeby czekał w domu. Gdybyście się państwo zorientowali, że zginęło coś wartościowego, proszę nas natychmiast zawiadomić.

W tym momencie zadzwonił telefon. Żuławska odwróciła się i podeszła do biurka. Sierżant odprowadził ją wzrokiem.

– To do pana.

– Do mnie? – niezgrabnym ruchem odebrał od niej słuchawkę. Jego głowa znalazła się tuż nad jej ramieniem. Uderzył go zapach jej włosów.

— Tak, to ja... – powiedział ochrypłym głosem, ni w pięć, ni w dziewięć. Zdał sobie sprawę z niestosowności takiej prezentacji, jeszcze zanim rozpoznał głos kapitana Buli.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI